

Wprowadzenie do wydania polskiego

Z prawdziwą przyjemnością zasiadam do pisania wstępu do polskiego wydania *W pożogę*. Polscy czytelnicy i beze mnie wiedzą, jak wielkie znaczenie miała pierwsza wojna światowa. Przez trzy lata toczyła się ona na ziemiach polskich, ze strasznymi skutkami dla miejscowej ludności. Wcielani do armii rosyjskiej, niemieckiej i austro-węgierskiej Polacy niekiedy walczyli przeciwko innym Polakom, zawsze zaś poświęcali się na rzecz obcych im władz imperialnych, które w większym lub mniejszym stopniu poddawały polskich poddanych represjom i których zwycięstwo w pierwszej wojnie światowej nie miało się raczej przysłużyć polskim interesom. Jednoczesna porażka Niemiec i Rosji sprawiła, że pod koniec wojny Polska odzyskała niepodległość, nie był jej jednak pisany długi odpoczynek od geopolityki. Kiedy Niemcy i Rosja odzyskały siły, właśnie ona stała się znów jedną z ich pierwszych i największych ofiar. Zwycięskie mocarstwa zachodnie – Francja, Wielka Brytania i Stany Zjednoczone – mogły zrobić o wiele więcej, by zapobiec tej sytuacji. Ani Brytyjczycy, ani Amerykanie nie byli gotowi zabezpieczyć układu wersalskiego obronnym sojuszem militarnym, co okazało się katastrofalnym w skutkach błędem. Jednakże nawet gdyby taki sojusz powstał, nie ochroniłby prawdopodobnie Polski przed trudnymi geopolitycznymi realiami płynącymi z jej położenia między Niemcami a Rosją, które potencjalnie były (i pozostają) najpotężniejszymi krajami na kontynencie europejskim.

Jednym z podstawowych celów tej książki jest wykazanie, że pod względem tak przyczyn, jak i skutków pierwsza wojna światowa była konfliktem przede wszystkim wschodnioeuropejskim. Przekonanie



do takiego poglądu czytelnika angielskojęzycznego nie jest zadaniem łatwym. Debaty, jakie toczyły się w Wielkiej Brytanii z okazji stulecia wybuchu wojny, stanowiły smutne przypomnienie o tym, jak zaściankowego charakteru nabrała ponownie brytyjska opinia publiczna i publiczna pamięć. Polskiemu czytelnikowi zaakceptowanie moich argumentów nie nastręczy prawdopodobnie aż takich trudności.

Wybuch wojny w 1914 roku miał wiele przyczyn, decydujące znaczenie miały jednak moim zdaniem dwie z nich. Pierwszą był kryzys imperium w Europie Środkowo-Wschodniej. Kryzys ten nie był jedynie projekcją lęków czy wytworem wyobraźni rządzących imperiami. Upadek Cesarstwa Osmańskiego w Europie poskutkowało daleko idącą destabilizacją europejskiej równowagi sił. Władze Austrii nie bez podstaw uważały, że międzynarodowy status ich kraju obniża się i że czekają ich bardzo poważne trudności w polityce zewnętrznej. Przesadna reakcja Austriaków na te zagrożenia skierowała Europę na drogę prowadzącą ku katastrofie, jednakże Wiedeń nigdy nie zdecydowałby się na agresywne kroki bez wsparcia i zachęty ze strony Berlina. W ten sposób dochodzimy do drugiej – i moim zdaniem najważniejszej – przyczyny, dla której wybuchła pierwsza wojna światowa. Berlin obserwował zmierzch potęgi austriackiej z wielkim niepokojem i przyjął z zadowoleniem pełne determinacji działania podjęte przez Austriaków w lipcu 1914 roku. Przede wszystkim zaś rządzący Niemcami zdecydowali się poprzeć Wiedeń, ponieważ uważali, że w ciągu najbliższej dekady prawdopodobnie i tak dojdzie do ogólnoeuropejskiego konfliktu. Uważali też, że o ile obecnie są najpewniej w stanie wygrać taką wojnę, o tyle w obliczu rosnącej potęgi Rosji nawet za kilka lat podobny konflikt będzie musiał skończyć się dla nich klęską.

Choć jednak bezpośrednie przyczyny wybuchu wojny dotyczyły Europy Wschodniej, najważniejsze kwestie, które na nich zaważyły – imperium a naród, mocarstwowość a tożsamość – miały charakter uniwersalny i stanowiły centralny element historii świata w XX wieku. Już w roku 1914 było jasne, że tak będzie. Wyzwanie, jakim dla imperium był nacjonalizm, nie tylko destabilizowało sytuację międzynarodową na wschodzie Europy, lecz także, w tym samym



czasie, paraliżowało politykę wewnętrzną Wielkiej Brytanii i groziło wybuchem wojny domowej w Irlandii. Fundamentalny problem był prosty. Naród – definiowany przez pryzmat języka, wspólnoty etnicznej i historii – wydawał się organizmem politycznym najskuteczniej jednoczącym poszczególne społeczności i zapewniającym rządowi legitymację w umysłach poddanych. Na pewno zaś jawił się jako najpewniejsza podstawa ustroju demokratycznego. Z drugiej jednak strony, jeśli idzie o potęgę i status na arenie międzynarodowej, zdawało się, że przyszłość należy do imperiów. Żadne państwo europejskie nie mogło mieć nadziei na dorównanie przyszłej potędze Stanów Zjednoczonych i (być może) Rosji bez dostępu do zasobów na skalę kontynentalną. Konflikt między dwiema drogami: wewnętrzną solidarności i zewnętrzną potęgą do pewnego stopnia nie był niczym nowym. Jego elementy zarysowały się już, gdy greckie państwa-miasta starły się z imperium perskim. Demokracja sprawdzała się zawsze najlepiej w małych państwach, podczas gdy osiągnięcie pozycji mocarstwa wymagało zwykle wielkiej państwowości. Jednakże w dzieścioleciach poprzedzających wybuch pierwszej wojny światowej ów dylemat przybrał ostrzejszą formę i stało się tak z kilku powodów. Jednym z nich była globalizacja wywołana przez rewolucyjne zmiany w technologiach komunikacyjnych. Innym, jeszcze ważniejszym powodem był ogromny wzrost gospodarki i przyrost ludności Stanów Zjednoczonych po wojnie secesyjnej.

Fundamentalnego dylematu, przed którym Europejczycy stanęli przed 1914 rokiem, nie udało im się rozwiązać do tej pory. Logika, na której opiera się Unia Europejska, ma charakter imperialny. Aby uniknąć prawdopodobnej marginalizacji, gdy decydować się będą kwestie związane z ich bezpieczeństwem i dobrobytem, mieszkańcy Europy muszą łączyć zasoby swojego kontynentu: raczej nie podobałby im się świat, w którym decyzje w najważniejszych kwestiach handlu i ekologii podejmują Donald Trump, Xi Jinping i Władimir Putin. W obliczu coraz bardziej niebezpiecznego klimatu międzynarodowego konieczność europejskiej solidarności jest oczywista. Ale Europa jest także kontynentem, w którym wynaleziono nacjonalizm etniczno-językowy i który nie może się uwolnić spod wpływu „polityki tożsamości”. Łączenie



tych przeciwności jest obecnie nie mniej trudne – i nie mniej ważne – niż w roku 1914.

Przekształcenie Europy Środkowo-Wschodniej w region państw zbudowanych według modelu etniczno-językowego odbyło się kosztem dwóch wojen światowych, ludobójstwa i czystek etnicznych. Proces ten jeszcze się zresztą nie zakończył, skoro wciąż nie do końca poradziłyśmy sobie ze skutkami rozpadu imperium radzieckiego czy Jugosławii. Skutki upadku imperium objawiają się zwykle w pełni po upływie co najmniej jednego pokolenia. Niewykluczone – choć moim zdaniem mało prawdopodobne – że upadek imperium i katastrofy lat 90. XX wieku w Rosji będą miały katastrofalny wpływ na Rosjan, ich sąsiadów i cały świat. Tymczasem w większej części Bliskiego Wschodu panuje chaos wynikający w znacznym stopniu z nieprzystawalności europejskiego modelu państw narodowych do terytoriów, które wchodziły niegdyś w skład Imperium Osmańskiego.

Brytyjczycy często dają wyraz dumie z tego, że zachowali się lepiej niż większość innych metropolii w obliczu końca imperium. Jest to prawda tylko po części. Jedną z wielkich zalet imperium transoceanicznego jest to, że wycofująca się metropolia może pozostawić po sobie chaos, nie szkodząc zarazem zbyt swoim własnym interesom. Do dziś w Myanmarze (Birmie) trwa wojna domowa, która rozpoczęła się po opuszczeniu tego kraju przez Brytyjczyków – ale Birma leży bardzo daleko od hrabstwa Kent. Kwestia palestyńska jest w istocie dziełem Brytyjczyków, którym następnie obarczyli oni świat w 1948 roku. Wynikiem podziału Indii jest skrajnie niebezpieczna i niestabilna konfrontacja nuklearna między Indiami a Pakistanem. Jedynie w Irlandii Brytyjczycy nie byli w stanie wygasić imperium bez szwanku dla siebie. Załagodzić antagonizmy i położyć kres rozlewowi krwi między irlandzkimi protestantami a katolikami udało się w końcu w dużej mierze dzięki Unii Europejskiej. Jedną z wielkich potencjalnych zalet Unii jest właśnie to, że zasadniczo może ona odegrać ważną rolę w łagodzeniu i ograniczaniu konfliktów między narodami Europy o terytorium, historię i tożsamość. W 2017 roku angielscy wyborcy zagłosowali za opuszczeniem Unii Europejskiej, niemal zupełnie nie zastanawiając się nad tym, co taka decyzja oznaczać będzie dla Irlandii.



Należy także pamiętać, że większość mieszkańców współczesnej Azji zamieszkuje państwa, którym pod wieloma względami bliżej do imperiów niż do europejskiego modelu państwa narodowego ufundowanego na tożsamości etniczno-językowej. Tyczy się to Indii, Indonezji, Iranu, a nawet do pewnego stopnia Chin. Gdyby na tych rozległych terenach miała zapanować polityka tożsamości na modłę europejską i gdyby wszystkie zamieszkujące je grupy etniczno-językowe zaczęły domagać się własnej państwowości, doprowadziłoby to do konfliktów, których nasza planeta mogłaby nie przetrwać. W 1914 roku imperiom poważnie zagroziły doktryny suwerenności ludu i nacjonalizmu etniczno-językowego. Imperium Osmańskie upadło już wówczas w Europie i Afryce – ale nawet ono pozostało jeszcze sprawnie działającym organizmem politycznym w Azji. To samo tyczyło się – nawet w większym stopniu – imperiów Habsburgów i Romanowów. Wszystkie te trzy państwa wykazały się podczas pierwszej wojny światowej wielką prężnością i zdolnością do mobilizacji gigantycznych zasobów. Upadły dopiero pod wpływem ogromnych wysiłków i napięć związanych z wojną totalną oraz (w niektórych wypadkach) klęski wojennej. Istnieje ryzyko, że kryzys ekologiczny może mieć podobny wpływ na wielkie, wielonarodowe i potencjalnie kruche organizmy polityczne Azji.

Z którejkolwiek strony byśmy nie patrzyli, problemy, które spowodowały katastrofę w roku 1914, pozostają zatem aktualne także dzisiaj. Warto jednak pamiętać, że choć przed 1914 rokiem utrzymaniu pokoju i stabilności na arenie międzynarodowej nie sprzyjało wiele czynników o charakterze strukturalnym, kiedy w lipcu tego roku doszło do kryzysu, najważniejsze decyzje podejmowała zaledwie garstka ludzi. Większość z nich zachowała się w trakcie tego kryzysu w przewidywalny sposób. Jak czytelnicy przekonają się w dalszej części książki, trudno mi wyobrazić sobie, by najważniejsi rosyjscy decydenci mogli w lipcu 1914 roku postąpić w bardzo odmienny sposób. Można wszakże zastanawiać się, czy gdyby Władimira Kokowcowa nie pozbawiono w styczniu 1914 roku stanowiska prezesa Rady Ministrów, jego ostrożne i koncyliacyjne podejście do stosunków międzynarodowych pozwoliłoby uzyskać więcej czasu na dalsze negocjacje. Nie tak pewny siebie jak Raymond Poincaré i mniej nacjonalistycznie od niego nastawiony



przywódca Francji podczas kryzysu być może nie wspierałby tak bardzo Petersburga. W Londynie David Lloyd George mógł sprzeciwić się rozpoczynaniu wojny nawet po ataku na Belgię, choć gdyby tak zrobił, doszłoby prawdopodobnie do podziału i upadku rządu liberałów.

Jednakże najważniejsze z pytań o cechy osobowości przywódców odnoszą się do niemieckiego kanclerza, Theobalda von Bethmanna Hollwega. Zdecydowanie największą odpowiedzialność za wybuch wojny ponoszą w mojej opinii właśnie Niemcy. To tam podjęto decyzje, za sprawą których wojna stała się niemal nieunikniona. W Berlinie liczyło się wówczas trzech ludzi, ale to Bethmann odgrywał zasadniczą rolę. Szef Sztabu Generalnego, Helmuth von Moltke, wzywał w 1914 roku do wojny, tak jak czynił to w poprzednich latach, kiedy jednak jego słowa nie odniosły skutku. W lipcu 1914 roku Wilhelm II nie podejmował nigdy żadnych działań bez zgody Bethmanna Hollwega; gdyby znany ze zmiennych nastrojów cesarz otrzymał poparcie kanclerza, mógłby w ostatniej chwili zawrócić Niemcy z drogi ku wojnie. Jak przekonają się czytelnicy tej książki, największą zagadką jest dla mnie to, czemu latem 1914 roku kanclerz zajął diametralnie inne stanowisko niż w latach 1912–1913, kiedy stanowczo sprzeciwiał się austriackiej agresji na Bałkanach. Wkraczamy tu w niepewną sferę biografii.

Nigdy nie dowiemy się na pewno, co spowodowało fatalne w skutkach posunięcie Bethmanna latem 1914 roku. Jak już pisałem w tym wprowadzeniu, decyzje te opierały się na skrajnie pesymistycznych założeniach o nieuniknioności wojny europejskiej, stosunkowym słabnięciu bloku niemiecko-austriackiego oraz o przyszłej potędze Rosji i agresji z jej strony. Żadne z tych założeń nie było w pełni irracjonalne, jednakże moim zdaniem wszystkie one były niezasadnione i błędne. Wiele lat temu znałem wnuczkę Bethmanna i rozmawiałem z nią na ten temat. Zawsze podkreślała, że jej dziad był wówczas w stanie głębokiej depresji po bardzo niedawnej śmierci żony. Wielu zawodowym historykom okoliczność ta wydać się może niepoważnym i powierzchownym wytłumaczeniem katastrofy, która nastąpiła w 1914 roku. Oczywiście nie jest to wytłumaczenie całościowe. Ale nie ma nic niepoważnego w sugestii, że kiedy człowiek traci osobę, która nie tylko nadawała sens jego życiu, ale też była dla niego



źródłem wsparcia w jego niezmiernie stresującej pracy, może to mieć przemożny wpływ na jego sądy i sposób postrzegania świata. Gdyby dziś doszło do grożącego wojną kryzysu między mocarstwami, podobnie jak w 1914 roku decyzja należałaby do niewielkiej grupy ludzi – wynika to z natury tak kryzysów w stosunkach międzynarodowych, jak i wojskowych procesów decyzyjnych. Te ostatnie już w 1914 roku wymagały natychmiastowej reakcji; sto lat później godziny skurczyły się do minut. Za sprawą wojny cybernetycznej współczesnych decydentów otaczałaby w decydujących chwilach mgła niepewności. Nie można też wykluczyć, że przywódcy niektórych, jeśli nie wszystkich, wielkich mocarstw okazaliby się mniej ludzcy i bardziej egoistyczni niż Theobald von Bethmann Hollweg. Otwartym pozostaje pytanie, czy są od niego bardziej kompetentni i charakterologicznie lepiej przystosowani do pełnienia najwyższych stanowisk. Nasza niesłabnąca, pełna przerażenia fascynacja początkami pierwszej wojny światowej wynika właśnie stąd, że wciąż mamy do czynienia z wieloma z realiów, które w 1914 roku doprowadziły świat do katastrofy.